



Bliźniaczki w habitach

Beata Żabka rozmawia z s. Mariettą i s. Leonardą

Nigdy nie rozmawiały ze sobą o powołaniu. Jedna z nich napisała kiedyś, że raczej nie zostanie zakonnica...

BEATA ŻABKA: — Pierwsze sanktuarium duchowego wzrostu to dom rodzinny. Jak to wyglądało w Waszym domu?

S. LEONARDA: — Przyszliśmy na ten świat w rodzinie Ireny i Jana Kuniszewskich. Rodzice pobrali się z miłości, tuż po wojnie. Obydwoje pochodzili z rodzin wielodzietnych i wierzyli, że skoro mają dwie pary rąk do pracy i się kochają, to dadzą sobie w życiu radę. Codziennie klękali do pacierza, mama nie poszła spać, dopóki nie odmówiła Różańca i Złotej Koronki do Najświętszego Serca Pana Jezusa. Czasem, żeby nie zasnąć na modlitwie, chodziła wokół domu i półgłosem szeptała pacierze. Po roku małżeństwa urodził się Adaś, który żył tylko 1 dzień. Rodzice się dorabiali, budowali dom, oszczędzali, tata pracował w gminie, a mama prowadziła gospodarstwo. Modlili się o dziecko. Długo, bo dzieci wciąż nie było. Mama chorowała na anemię — pod koniec życia choroba ta przekształciła się w białaczkę i była przyczyną jej śmierci. Tacie było trochę lżej, bo obracał się wśród ludzi, pomagał odpisywać na listy, pisał podania; jak nikt potrafił budować stogi z siana i ze zboża. Mama siedziała najczęściej sama w domu i płakała, bo co to za małżeństwo bez dzieci?

— I oto — można by powiedzieć: Maryjny dar...

S. MARIETTA: — Tak, po 13 latach, w dzień Matki Bożej Fatimskiej — 13 października mama w wieku 45 lat urodziła trojaczki, 3 dziewczynki: Jadzię, Tereskę i Marylkę. Na drugi dzień ochrzczono nas w szpitalnej kaplicy, bo byłyśmy małe i słabe. Tata wspominał, że miałyśmy paluszki jak zapalki. Przeciętna waga każdego dziecka — ok. kilograma. Chrzestnymi byli lekarze z oddziału w Sierpcu. Rodzice przeżywali ogromną radość. Tata rzucił pracę w gminie, a także palenie, żeby pomagać mamie przy dzieciach. Co 2 godziny trzeba nam było podawać lekarstwa, jedzenie. Mama przez 3 miesiące prawie nie kładła się do łóżka, tylko siedziała na krześle z głową opartą na rękach, lecz była taka szczęśliwa! Po 3 miesiącach zmarła Marylka. Wszystkie trzy byłyśmy chore, ale ona nie przeżyła. Po jej śmierci mamie ubyło połowę sił, ale jeszcze miała dla kogo żyć. Szybko pozbierała się po tej stracie.

— Jak radzili sobie rodzice z wychowywaniem dorastających córek?

S. MARIETTA: — Chuchali na nas i dmuchali, byli nadopiekuńczy z obawy, żeby nam się coś nie stało. Stracili już dwójkę, a sami nie byli przecież tacy młodzi. Czułyśmy ich miłość, chociaż nieczęsto wyrażali ją słowami.

S. LEONARDA: — Bardzo lubiłam, jak tata mówił do mnie: Tereniu. Mama imponowała mi tym, że potrafiła dla nas i dla taty wszystko uszyć, przerobić. Była bardzo zaradna życiowo. Tata jej słuchał, choć sam był trochę marzycielem, poetą. Interesował się polityką, słuchał Radia Wolna Europa, pilnował domowych rachunków. Po nim odziedziczyłam zamiłowanie do matematyki, choć jednocześnie chciałam być krawcową.

— A czy były jakieś szczególne autorytety w tamtych latach?

S. LEONARDA: — W szkole średniej, oprócz tego, że interesowałam się matematyką, dużo czytałam. Moja siostra pisała wiersze. Chodziłyśmy nawet na dodatkowe fakultety do emerytowanego już profesora Stefana Gołębiowskiego, który bodajże jako jedyny w całości przetłumaczył na [język polski](#) Horacego. Myślałyśmy o filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Prof. Gołębiowski mówił o sobie, że jest człowiekiem niewierzącym. Miał jednak swoje życiowe hasło, według którego postępował: „Jest tylko jeden czas — czas dla ludzi”. Nam, kilkorgu młodym ludziom z Liceum Ogólnokształcącego w Bieżuniu, bardzo to imponowało. U starego Profesora nauczyliśmy się języka francuskiego i łaciny. Oglądaliśmy u niego poniedziałkowy Teatr Telewizji i potem dyskutowaliśmy o danej sztuce. Prof. Gołębiowski widział w nas swoich następców w działalności dydaktycznej i społecznej w regionie. Z naszej grupy dwóch kolegów poszło do seminarium w Płocku, a my — uprzedzając trochę fakty — do zgromadzenia zakonnego. Profesor denerwował się na takie wiadomości i mówił: „Wygląda na to, że ja ich wszystkich przygotowuję do seminariów i do zakonu”. Chyba coś w tym było, bo przekazał nam swoje najgłębsze ideały, których rezultatem były takie, a nie inne wybory młodych ludzi. Dla pełności informacji muszę dodać, że za którymś razem podziękował mi za przysyłany co roku opłatek. Przed śmiercią wypowiedział się u ks. Jana Twardowskiego.

— Kiedy zrodziło się Wasze powołanie, bo chyba nie od początku było ono takie oczywiste?

S. MARIETTA: — W trzeciej klasie szkoły średniej po raz pierwszy pojechałyśmy na Jasną Górę. Było bardzo dużo ludzi, cisnęli się, bo każdy chciał zobaczyć Matkę Bożą i Prymasa Wyszyńskiego. A Prymas stał w drzwiach jasnogórskiej zakrystii, wysoki, w płaszczu, jak księżę Kościoła, i dobrym głosem mówił: „Dzieci moje, nie tłoczcie się tak, wszyscy mnie zobaczycie”. I tak było.

S. LEONARDA: — Z jego słów zapamiętałam te, w których mówił, że jeśli ktoś chce dobrze przeżyć swoje życie i nie zmarnować go, to niech się modli do Matki Bożej słowami Aktu Oddania się Maryi: „Matko Boża, Niepokalana Maryjo, Tobie poświęcam ciało i duszę moją...”. Zrobiłam sobie wtedy takie postanowienie, że tę modlitwę będę odmawiała codziennie, bo swoje życie chciałam dobrze przeżyć. Na rekolekcjach powołaniowych u Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny w Częstochowie w końcowej ankiecie napisałam, że siostrą zakonną nigdy nie będę — i to wcale nie z przekory. Ale w tym czasie zaczęły się moje częste osobiste „sam na sam” z Panem Bogiem w kościele i na osobności. To doświadczenie było zakorzenione w przeżyciach misji parafialnych i w odnowieniu tych misji, prowadzonych przez jezuitę — o. Zdzisława Pałubickiego i sercanina, którego nazwiska nie pamiętam, po 10 latach. Byłam na rozstaju dróg: iść za Jezusem w życiu zakonnym czy na polonistykę? Myślałyśmy już wtedy dalej niż tylko o zawodzie i studiach, choć to wszystko nie do końca było jeszcze sprecyzowane.

— Czy był jakiś szczególny dzień, który zaważył na decyzji, że jednak powołanie zakonne?

S. LEONARDA: — Tak, szalę przechyliły uroczystości obłóczyn sióstr zakonnych w Chelmie n. Wisłą, w których brałyśmy udział jako zaproszeni goście. Do zgromadzenia pierwsza zgłosiła się Jadzia, o czym ja nie wiedziałam. I zaraz po niej ja, tego samego dnia. O tych sprawach nie rozmawiałyśmy ze sobą. Każda miała swoją

tajemnicę z Jezusem. Mnie do zgromadzenia przyjęto warunkowo, jeśli rodzice wyrażą zgodę, bo więcej dzieci już nie było. W drodze powrotnej siostra, która prowadziła samochód, a o niczym nie wiedziała, w pewnym momencie powiedziała: czuję, że wiozę postulantki.

— Jak rodzice przyjęli Wasz „pomysł” na życie?

S. MARIETTA: — Mama chciała po swojemu, po matczynemu, wyczuć, czy moja chęć wstąpienia do zakonu nie jest jakąś fanaberią lub kolejnym wyglupem młodości, bo tego też w życiu nie brakowało. Poszłyśmy w czerwcu, przed wieczorem, ukopać ziemniaków i tam odbyła się decydująca rozmowa z mamą, zakończona słowami, których nie zapomnę do końca życia: „Jeśli mi Pan Bóg was dał, to teraz, jak chce mieć was dla siebie, to ja nie mogę Mu tego odmówić”. I stało się, po maturze rozpoczęłyśmy nowicjat, a rodzice znów zostali sami, chociaż mieli swoje plany względem nas. Sąsiedzi się dziwowali, zwłaszcza tacie, że nam obu pozwolił iść do zakonu. Jednej — to jeszcze zrozumiałe, ale dwom?

— Czym kierowałyście się przy wyborze zgromadzenia?

S. LEONARDA: — Zgromadzenie Sióstr Misjonarek było w odległości 2 km od miejscowości, w której mieszkała nasza ukochana babcia Anna Stępska, mama naszej mamy. Od dziecka często ją odwiedzałyśmy, razem z nią chodziłyśmy do pobliskiego kościoła w Ratowie. Widziałyśmy siostry, jak się modliły. Czasem coś od nich otrzymałyśmy, jakiś obrazek, przypinkę, malowane jajko na Wielkanoc. Potem, w szkole średniej, często się spowiadałyśmy u miejscowego kapelana — ks. Grabowskiego i przystępowałyśmy do Komunii św. Jedna z sióstr po latach powiedziała, że modliły się we wspólnocie, żeby te długie rozpuszczone włosy Pan Jezus nakrył welonem. Do zgromadzenia nie trafiłyśmy jednak przez kontakt z siostrami z Ratowa, ale przez gazetę „Przewodnik Katolicki” z Poznania.

S. MARIETTA: — Kiedyś, gdy wracałyśmy autobusem ze szkoły, spotkałyśmy siostrę zakonną. Usiadłam obok niej, bo tylko to miejsce było wolne. Zaczęłyśmy rozmawiać — siostrę ośmieliło do rozmowy to, że taka młoda dziewczyna miała na palcu pierścionek z Matką Bożą Niepokalaną. Okazało się, że pisała ona pracę magisterską i zbierała w archiwum w Płocku materiały historyczne o zgromadzeniu — poprosiła o modlitwę w intencji szczęśliwego sfinalizowania magisterium. Wspólna podróż trwała tylko 10 minut. Na jej zakończenie siostra dała mi różowy różaniec. Trzeba było wysiadać i nie zapytałam nawet o jej imię ani o nazwę zgromadzenia. Wiedziałam tylko, że jechała do Mławy. Męczyło mnie to, że nie podziękowałam za różaniec. Podejmowałam różne próby poszukiwań i wreszcie wpadłam na pomysł, żeby całą historię opisać w „Przewodniku Katolickim”, który tata co niedzielę przynosił z kościoła. Artykuł „Nieznajoma z podróży” ukazał się za 3 miesiące, 6 marca 1977 r. Przyszło nawet jakieś honorarium. To były moje pierwsze zarobione pieniądze. Podobno w redakcji byli zainteresowani tym, czy ta siostra się odezwie. Nie odezwała się, bo już wcześniej był kontakt korespondencyjny, choć listy długo krążyły. Z s. Adrianą ze Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny spotkałyśmy się dopiero w czerwcu na odpuszczeniu ku czci św. Antoniego.

— Jak wyglądały pierwsze miesiące w zgromadzeniu?

S. LEONARDA: — Po nowicjacie byłam katechetką w Białymstoku i rok w Lublinie, a Jadzia w Różanie. Zmieniłyśmy imiona: ja — s. Leonarda, a Jadzia — s. Marietta. Po latach mama się dziwiła: „Jak wam to przyszło do głowy, by iść do zakonu? Ja wychowałam się w pobliżu sióstr, widziałam, jak się modliły, jak pracowały w ogrodzie, na polu, przy kręceniu torfu, a nigdy tak nie pomyślałam. To musi być łaska powołania”. Wkrótce rozpoczęłam filologię polską na KUL-u w systemie stacjonarnym, a s. Marietta studiowała w Łomiankach. Ukończyła [studia](#) nad rodziną. Po studiach jeszcze jeden rok pracowałam w katechezie — uczyłam dzieci pierwszokomunijne i młodzież w technikum kolejowym w Lublinie. Chłopcy mi obiecali, że jak już będą prawdziwymi kolejarzami, to załatwią mi taki bilet kolejowy, że będę mogła jeździć po całej Polsce za darmo. Do dzisiaj go nie mam!

— Gdzie później pracowałyście?

S. LEONARDA: — Przez 18 lat pracowałam w formacji zakonnej. Byłam mistrzynią nowicjatu i junioratu, po drodze były też obowiązki przełożeńskie. Na spotkania formacyjne wyjeżdżałam na Litwę i Białoruś. Następnie przez 9 lat byłam odpowiedzialna za przedszkole w Zakopanem i w Lublinie. Ukończyłam pedagogikę wczesnoszkolną z elementami przedszkolnej i zarządzanie. Teraz jestem na rekonwalescencji w Częstochowie. Zbieram siły i doświadczenie pedagogiczne w postaci przygotowywania pracy doktorskiej o założycielce — bł. Bolesławie Lament — jako wychowawczynie.

S. MARIETTA: — Ja od ponad 30 lat pracuję jako katecheta, w większości na placówkach w diecezji płockiej.

— **W sierpniu minęło 35 lat Waszego życia zakonnego. Czy to był... dobry wybór?**

S. LEONARDA I S. MARIETTA: — Tak! I nie zamieniłybyśmy go dzisiaj na żaden inny!